

HiMountain Tien-Shan 2009 – Polish Female Expedition

“HiMountain Tien-Shan 2009 – Polish Female Expedition” trwała od 13 lipca do przełomu sierpnia i września 2009. W wyprawie wzięły udział trzy osoby: Aleksandra Ihnatowicz, Joanna Stasielak (obydwie KW Warszawa) oraz ja, reprezentując Klub Skialpinistyczny Kandahar. KS Kandahar był także formalnym organizatorem wyprawy.



Od lewej: Aleksandra Dzik, Joanna Stasielak, Aleksandra Ihnatowicz (fot. Aleksandra Ihnatowicz)

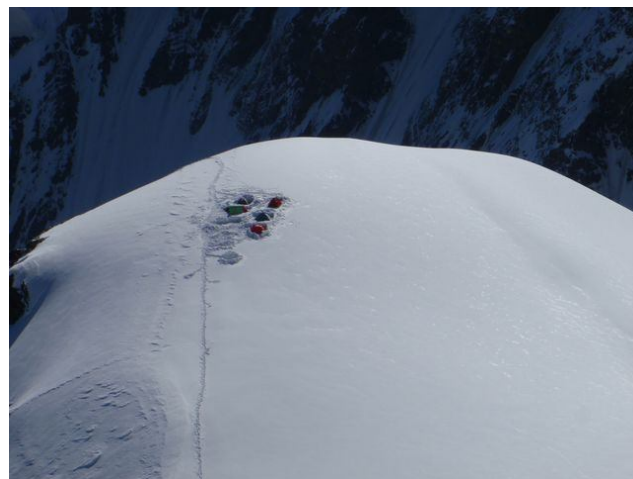
Celem wyjazdu były dwa siedmiotysięczniki w Tien-Szanie: Chan Tengri (7010 m n.p.m.) oraz Pik Pobiedy (7439 m n.p.m.). Plan wyprawy zakładał w pierwszej kolejności działanie na pierwszym ze szczytów, a dopiero w przypadku powodzenia na tej górze przeniesienie się pod Pik Pobiedy i działanie tam w stylu alpejskim. Zdając sobie sprawę z tego, iż drugi z wymienionych szczytów jest jednym z trudniejszych, a przede wszystkim najbardziej niebezpiecznych siedmiotysięczników świata, brałyśmy pod uwagę możliwość rezygnacji z realizacji drugiego celu przez część zespołu, jak również możliwość połączenia sił z działającymi na szczycie zespołami męskimi.

Lot do Biszkeku i przejazd z przygodami przez Kirgizję odbyłyśmy wspólnie z „Almanak Expedition” – polską wyprawą na Chan Tengri. Podobnie jak my planowali oni wejście na Chan-Tengri klasyczną drogą przez Zachodnie Żebro, wybrali jednak wariant północny przez Ramię Czapajewa - trudniejszy i dłuższy, ale bezpieczniejszy. Nas plany związane z Pobiedą skazywały na atakowanie Chana od strony południowej, przez tzw. butelkę, drogą łatwiejszą, ale narażoną na lawiny. Ostatecznie jednak dzień przed wylotem, pod wpływem informacji o wyjątkowo śnieżnym początku sezonu oraz

pojawienia się możliwości niedrogiego przelotu z jednej bazy do drugiej, zdecydowałyśmy się udać do bazy północnej, a na południe przenieść się po zakończeniu działalności na Chanie.

Na lodowiec Inylczek Południowy dotarłyśmy 17 lipca. W celu uniknięcia opłat za pobyt w bazie wraz z drugą grupą założyliśmy własną „polską bazę” nieopodal kirgiskiej, nieco dalej od drugiej, kazachskiej. Kolejnego dnia, 18 lipca, wyruszyłyśmy założyć jedynekę. Droga jest łatwa. Najpierw przejście przez lodowiec, wymagające dobrej orientacji, ale raczej bezpieczne. Później strome podejście. W miejscu przekraczania szczeliny zaczyna się łańcuch poręczówek. Dalej trawers, podejście, pośredni obóz, tzw. niższa jedynek, znów śnieżne podejście i właściwy obóz I, leżący na ok. 4600 m. Po założeniu obozu zeszyłyśmy do bazy.

Ponieważ Asia nie najlepiej się czuła na górze, kolejne wyjście, mające na celu postawienie wyższych obozów, rozpoczęłyśmy dopiero dwudziestego, po dniu odpoczynku w bazie. Tym razem w jedyńce wszystkie czułyśmy się dobrze, nazajutrz wyruszyłyśmy więc do dwójki, położonej na ok. 5500 m. Trasa miała być długa i trudna, postanowiłyśmy więc, wynieść wszystko na jeden raz, a wysiłek tego dnia zrekompensować sobie nazajutrz odpoczynkiem w dwójce. Droga do obozu z ciężarem i bez aklimatyzacji faktycznie zajęła 7-8 godzin i była męcząca, ale skałki okazały się łatwe, a całość dobrze zaporeczowana. Dwójka znajduje się komfortowym plateau.



Obóz II na Chan Tengri (fot. Aleksandra Dzik)

Kolejnego dnia odpoczywałyśmy w obozie, zaś 23 lipca wyruszyłyśmy założyć trójkę. Postanowiłyśmy najpierw postawić obóz na wierzchołku Ramienia Czapajewa, na 6100 m. i tam spędzić noc z myślą o jak najlepszej aklimatyzacji pod kątem obu szczytów, a dopiero później przenieść namiot na leżącą na 5800 m przełęcz, gdzie północny wariant drogi spotyka

się z południowym i skąd rozpoczyna się atak szczytowy.



Skalny odcinek między obozem II a wierzchołkiem Ramienia Czapajewa (fot. Aleksandra Dzik)

Już na początku drogi do trójki Asia musiała zawrócić z powodu kiepskiego samopoczucia. Ola i ja szybko pokonałyśmy strome pola śnieżne oraz najtrudniejszy na całej drodze długi odcinek zaporęczowanych skał i po czterech godzinach dotarłyśmy do obozu. Stąd po raz pierwszy zobaczyłyśmy monumentalną bryłę Pobiedy. Po założeniu obozu zjechałyśmy do dwójki, zaś kolejnego dnia wszystkie byłyśmy już w bazie.

Plan zakładał odpoczynek na dole przez 2-3 dni. Jednak 26 lipca wieczorem nadeszło zapowiadane załamanie pogody. Niestety 27-go i 28-go, który już ostatecznie miał być dniem wyjścia, pogoda nadal była zmienna. Zaproponowałam wyjście, jednak większość zespołu była przeciwna, pozostałyśmy więc w bazie. Kolejnego dnia pogoda nadal była średnia, choć moim zdaniem na wyjście z bazy do jedyнки w zupełności wystarczająca. Jednak i tym razem siła większości skutecznie powstrzymała mnie przed wyjściem

Wyruszyłyśmy wreszcie trzydziestego. Pogoda była idealna, będąc na przełęczy można by tego dnia atakować szczyt. Noc spędziłyśmy w jedyńce, do dwójki udałyśmy się kolejnego dnia. W nocy nastąpił opad śniegu i wiał silny wiatr, więc rano nikt nie wyszedł do góry. Około 9-10 warunki się poprawiły, kilka osób wyruszyło do trójki. Ja również chciałam iść, lecz zespół był przeciwny, zatem aby nie rozbijać wyprawy pozostałam w dwójce. Na Ramię Czapajewa dotarłyśmy kolejnego dnia w towarzystwie drugiej polskiej grupy. Na wierzchołku z trudem odnalazłyśmy i rozstawiły nasz namiot, który, gdy zbliżało się załamanie pogody, na naszą prośbę poskładali korzystający z niego akurat koledzy.

Kolejny dzień przeznaczyłyśmy na przeniesienie obozu na przełęcz oraz odpoczynek przed planowanym nazajutrz atakiem. Trasa na

przełęcz wiedzie łatwym, śnieżnym terenem, poza dwiema szczelinami niezaporęczowanym. Zejście oraz okolice obozu są jednak jednym z najniebezpieczniejszych odcinków drogi, gdyż idzie się po nawisie.

Kolejne dni okazały się szkołą cierpliwości. 4 i 5 sierpnia pogoda była zła, szczególnie nocie bardzo wietrzne i z opadami. Nie nastrajała także optymistycznie dotychczasowa statystyka wejść od północy. Na szczycie Chana stało tylko kilka bardzo mocnych zespołów: Igor z Rosji z przewodnikiem oraz trójka Krasnojarców – autorów nowej drogi na Pobiedzie. Podobno były też jakieś wejścia od południa, jednak generalnie początek sezonu nie był dobry.



Nasz namiot w obozie III, w tle kopuła Chan Tengri (fot. Joanna Stasielak)

Trzeciego dnia w końcu podjęłyśmy próbę ataku wspólnie z Almanak Expedition, dla której w związku ze zbliżającym się terminem odlotu była to ostatnia szansa. Wyruszyłyśmy we dwie: Asia i ja; Ola pozostała w obozie, nie ufając pogodzie. Warunki istotnie były niestabilne, poprawiły się na tyle późno, że wyruszyliśmy dopiero o szóstej. Wkrótce pogoda pogorszyła się na tyle, że wszyscy zawrócili. Jako ostatni wycofał się Tomek z wyprawy Almanaka i ja. Żalowaliśmy, gdyż później pogoda poprawiła się, dwie osoby stanęły nawet tego dnia na szczycie. Ekipa Almanak Expedition udała się do bazy.

Siódmy sierpnia. Ta noc była zdecydowanie lepsza. Wyruszyłyśmy o piątej, razem z nami czterech Turków i rosyjskie małżeństwo. Idąc w „ogonku” po poręczówkach nie było możliwości trzymania się razem. Nie byłam też w stanie każdorazowo czekać na koleżanki, gdyż było bardzo zimno. Na szczęście pogoda była idealna, mogłyśmy więc pozwolić sobie na to, by każda szła swoim tempem i ewentualnie zawróciła.

Droga jest w całości zaporęczowana, choć poręczówki bywają stare. Wiedzie w większości terenem skalnym, miejscami śnieżnym. Dostyc

makabryczny moment następuje na ok. 6700m, gdzie trzeba minąć zawinięte w worek ciało Polaka, który zmarzył rok temu... Powyżej jest stromy kuluar, zaś ponad nim śnieżna przełączka. Nieco ponad nią spotkałam schodzącą ze szczytu dwójkę, która wyruszyła z prowizorycznego obozu czwartego na 6400. Kolejne 200 metrów podejścia to bardzo monotonne pola śnieżne. Na szczyt dotarłam ok. 13:50. Byłam przekonana, że wszyscy idący za mną zawrócili i jestem na górze sama. Ok. 14:00 zaczęłam schodzić.



Samotnie na szczycie Chan Tengri (fot. Aleksandra Dzik)

Ku swojemu zaskoczeniu w zejściu spotkałam podchodzących Turków i rosyjską parę, zaś niżej, w kuluarze, Asię. Od niej dowiedziałam się, że Ola nie najlepiej się poczuła i zawróciła, a ona sama, choć na szczyt raczej nie zdąży, chce iść w górę do siedemnastej. Próbowałam ją namówić do odwrotu. Jednak nikogo nie da się zawrócić na siłę – Asia ruszyła do góry. Ja zmęczona dotarłam ok. 17:00 do obozu, gdzie czekała Ola. Pełne niepokoju czekałyśmy na Asię, która na szczęście pojawiła się nieco po dwudziestej. Do szczytu zabrakło jej mniej niż 100 metrów pól śnieżnych, zawróciła, bo było już późno.

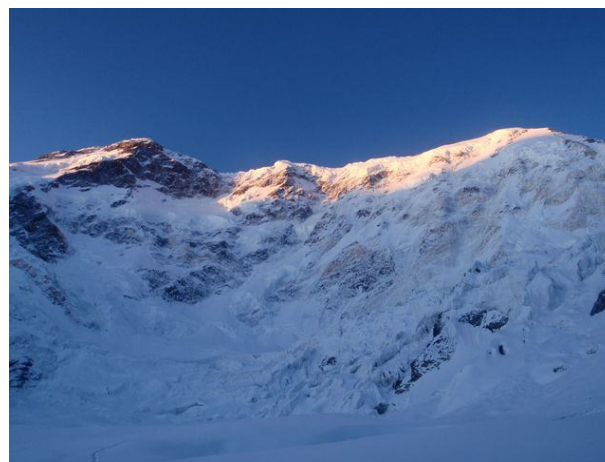
Kolejne dwa dni zajęło nam zejście do bazy, niełatwe z powodu ciężkich plecaków. Niezwykle miłym zaskoczeniem było dla nas powitanie, jakie przygotował szef bazy kirgiskiej oraz przewodnicy z bazy kazachskiej, którzy wręczyli nam kwiaty i czekoladki. Po jednym dniu odpoczynku, 11 sierpnia, udałyśmy się helikopterem na Inylczek Południowy.

W bazie oprócz obsługi zastałyśmy tylko Igora, który z bardzo silnym przewodnikiem Gieną przygotowywał się do ataku na Pobiedę, oraz dwóch Polaków, planujących wejście na Chana. Bardziej zaludniona była pobliska baza innej firmy. My musiałyśmy zaplanować dalszą akcję. Ola nie czuła się na siłach i zrezygnowała z Pobiedy. Asia chciała iść, lecz potrzebowała jeszcze dnia odpoczynku. Jednocześnie jedyną

szansą poznania trudnej orientacyjnie drogi do jedynek okazało się wyjście nazajutrz z Igorem i Gieną. Ostatecznie poszłam z nimi i oznakowałam biegnącą wśród labiryntu seraków drogę traserami, po czym przed szczelinami poprzedzającymi obóz, w miejscu gdzie trzeba się związać, zostawiłam depozyt; oni poszli w górę, ja zaś wróciłam do bazy.

Nazajutrz, 13 sierpnia, wyruszyliśmy już obydwie. Noc spędziłyśmy w irańskim namiocie kilkaset metrów przed właściwą jedyneką. Niestety w nocy spadło pół metra świeżego śniegu, zaś widoczność była niemal zerowa, więc z trudem odnalazłyśmy obóz. Śpiący w nim alpinści nie byli chętni do wyjścia w górę, mimo że dwie osoby schodzące ze szczytu właśnie przedęptały trasę. Same w obawie przed utratą sił nie zdecydowałyśmy się torować pod lodospad i pozostałyśmy w jedyńce. Kolejnego dnia pogoda nadal była bardzo zła i Asia postanowiła wrócić do bazy. Zeszła z grupą z jedynek, również rezygnującą z dalszej działalności.

W obozie pozostałam ja oraz przybyły dzień wcześniej czteroosobowy zespół młodych przewodników, których poznałyśmy po drugiej stronie Chan Tengri: Aleksiej Bażenow, Władisław Czechłow i Andriej Kornejew z Kazachstanu oraz Israfil Ashurly z Azerbejdżanu. Oni również planowali wejście na Pobiedę w stylu alpejskim. Dla części z nich miało to być skompletowanie „Śnieżnej Pantery”. Planowałam pójść za nimi chociaż do przełeczy Dziki, zrobić rekonesans przed przyszłym rokiem, po czym wrócić ze schodzącymi Gieną i Igorem, zanim szef naszej bazy zrealizuje swoje groźby jej wcześniejszego zwinięcia, ja zaś zostanę bez szansy lotu helikopterem na dół.



Pik Pobiedy. Widok z obozu I (fot. Aleksandra Dzik)

Sprawy przybrały jednak zupełnie inny obrót. Ku mojemu zaskoczeniu kazachsko-azerbejdżański zespół zaproponował mi wspólne zmierzenie się ze szczytem. Ponadto kolejnego

dnia, kiedy my z uwagi na za konieczność przeczekania, aż poschodzą lawiny, nadal czekaliśmy i poprzestaliśmy na przekopaniu się przez lodospad i powrocie do jedyńki, Giena i Igor weszli na Pobjedę. Postanowili jeszcze tego samego dnia zejść do jedyńki. Mogłam więc bądź wcale nie wyruszać w górę i zejść z nimi do bazy, bądź zaryzykować i wraz z nowym zespołem pójść na szczyt. Zdecydowałam się na drugą z tych możliwości. Mimo iż wiedziałam, że koleżanki z przyczyn zawodowych nie będą mogły przedłużyć pobytu i na mnie poczekać, poprosiłam je o przebukowanie mi biletu na późniejszy termin i tym samym zdecydowałam się na samotny powrót do kraju.

17 sierpnia po nieprzespanej nocy, przerwanej przybyciem po 23:00 Gieny i Igora, wyruszyliśmy. Koledzy zaplanowali dotarcie od razu do trójki, do jamy na 5800 m. Zaporeczowany lodospad nie jest trudny, lecz przy pokonywaniu z ciężkim plecakiem okazał się męczący. Z początku nie było zimno, szybko mineliśmy dwójkę na plateau i podeszliśmy na Przełęcz Dziki. Kolejny odcinek to bardzo długie i strome śnieżne podejście, gdzie torowaliśmy na zmianę. Wiatr się wzmacniał, było się coraz zimniej, my zaś stawali się coraz bardziej zmęczeni. Z trudem dotarłam do jamy. W piątkę było w niej ciasno, więc nawet ciepło.



Nowy zespół: I. Ashurly (Azerbejdżan), A. Bażenow, W. Czechlov i A. Kornejew (Kazachstan), (fot. Aleksandra Dzik)

Kolejnego dnia na szczęście plan zakładał przeskok tylko o jeden obóz, na 6400m. Silny wiatr i zimno dawały się we znaki nieustannie. Na skałach są poręczówki sprzed dwóch lat, jednak ich jakość jest różna. Dalszy odcinek to pola śnieżne i znów zaporeczowane skałki. Na 6400 ustawiliśmy namiot na niewielkim wypłaszczeniu pod skałą.

W nocy i rano wiatr był jeszcze silniejszy. Ok. 10:00 warunki nieznacznie się poprawiły i zdecydowaliśmy się na wyjście. Droga wiedzie przez zaporeczowane skały, wyżej przez pola

śnieżne, wreszcie szczyt Pobjedy Zachodniej. Po długich poszukiwaniach odnaleźliśmy wypłaszczenie na grani – obóz V. Zastaliśmy tu jeden podarty porzucony namiot oraz jamę z ciałem zamrożonego Rosjanina, którego podobno zostawił partner...



Chan Tengri widziany ze zboczy Piku Pobjedy (fot. Aleksandra Dzik)

Kolejnego dnia pogoda uniemożliwiła nam wyjście, obawialiśmy się, czy namiot wytrzyma. Z dołu do piątki dotarło pięć osób, według relacji moich kolegów bardzo mocnych i doświadczonych. Wśród nich był Aleksander Puczenin, według relacji Kazachów drugi po Denisie Urubko. Na kolejny dzień zaplanowaliśmy wspólny atak bezpośrednio na szczyt, bez zakładania obozu VI. Postanowiliśmy zabrać nasz namiot i sprzęt do gotowania, żeby awaryjnie zostawić je na końcu czterokilometrowej grani, u stóp właściwej kopuły szczytu. pod tzw. Obeliskiem, u stóp właściwej kopuły szczytu

Dwudziestego pierwszego sierpnia o piątej wyruszyliśmy na szczyt. Pogoda była podobna jak dotychczas, na lepszą jednak nie mogliśmy czekać, zwłaszcza, że po dwóch nocach na tej wysokości i w tych warunkach nie czuliśmy się już zbyt dobrze. Stosunkowo szybko przebyliśmy grań, usiłując dogonić Puczenina, który, mimo że torował, niemal biegł. Pod Obeliskiem nasza grupa zostawiła depozyt i szybko, by nie zamarznąć, ruszyliśmy w górę.

Mimo ostrego tempa coraz trudniej było mi utrzymać czucie w palcach rąk i nóg. Szłam dalej w nadziei, że po wejściu w nasłoneczniony teren będzie cieplej, jednak gdy to nie pomogło, postanowiłam zejść. Prawdopodobnie zawróciłam z wysokości ok. 7200 m. Zejście stromym mikstowym terenem z przemrożonymi rękami i nogami stanowiło jednak poważny problem. Mimo moich sprzeciwów Wład Czechlov zawrócił i szedł wraz ze mną, pożyczając mi

swój czekan. Wcześniej wycofało się dwóch alpinistów, którzy pod Obeliskiem rozłożyli nasz namiot.

Wkrótce pod Obelisk wycofał się Losza Baženov oraz alpinista imieniem Sierioğa. Po krótkim odpoczynku w namiocie musieliśmy jednak zwolnić miejsce dla osób będących jeszcze u góry, które miały tu spędzić noc. Na górze przebywali wówczas Israfil i Andriej z naszego zespołu oraz Rosjanin Pasza i Puczenin. Wspomniana dwójka alpinistów pozostała w namiocie, by czekać na powracających i ewentualnie wyjść po nich do góry. Natomiast Wład, Sierioğa, ja oraz będący w nienajlepszym stanie Losza po sześciogodzinnym brnięciu granią dotarliśmy wyczerpani do obozu V.

Rano powróciła grupa spod Obelisku. Israfil, Pasza i Puczenin byli na szczycie, Andriej się wycofał. Musieliśmy opuścić namioty, w których spaliśmy, gdyż ich właściele zamierzali po krótkim odpoczynku schodzić jak najszybciej na dół. Naszego namiotu koledzy postanowili nie rozstawiać, gdyż my również mieliśmy wkrótce schodzić. W obozie zapanował chaos, potęgowany zarówno podobnie ciężkimi jak dotychczas warunkami pogodowymi oraz chęcią ucieczki, jak i plotką o zapowiadanej na kolejny dzień locie helikoptera z drugiej bazy. Kolejne osoby schodziły na dół. Wiedząc, co oznaczałoby pozostanie tutaj, również próbowałam schodzić, lecz z powodu przemrożonych rąk nie byłam w stanie trzymać czekana i kijka, czy choćby założyć sprzętu. Ostatecznie zarówno mnie, jak i pozostałym osobom z naszego zespołu pomógł Wład. On i ja schodziliśmy jako ostatni z naszego zespołu. Po trudnym i wyczerpującym, choć krótkim, podejściu pod Pobjedę Zachodnią, rozpoczęliśmy zejście. Wład szedł pierwszy, ja po jego śladach. Stopniowo traciliśmy wysokość. Problem pojawił się, gdy weszliśmy w zaporęczowany teren skalny i trzeba było zjeżdżać, a więc potrzebne były sprawne ręce. Zdając sobie sprawę, że to jedyna możliwość, rozpoczęłam próbę zjazdu. Dzięki pomocy ze strony Włada, który przepinał każdorazowo mój przyrząd zjazdowy, udało nam się szybko wytracić wysokość na tyle, że wiatr i zimno nieco zelżały, mogłam więc zjeżdżać, a później schodzić, coraz bardziej samodzielnie. W końcu dotarliśmy do jam na 5800, gdzie odpoczywali nasi koledzy.



Zespół w komplecie po zejściu z Piku Pobjedy

Tego samego dnia zeszliliśmy do jedyńki, zaś nazajutrz do bazy moich kolegów. To, jak zostaliśmy tam przyjęci, przeszło wszelkie nasze wyobrażenia. Wład został okrzyknięty „gierożem”. Moja baza również jeszcze stała, choć koleżanki musiały ją już opuścić. Kolejnego dnia koledzy odlecieli do Kazachstanu, zaś ja ze spotkanymi znajomymi udałam się trekkingiem ku nizinom. 2 września powróciłam do Polski.



„HiMountain Tien-Shan 2009 – Polish Female Expedition 2009” mogła dojść do skutku dzięki następującym firmom, instytucjom oraz mediom: HiMountain, Polski Związek Alpinizmu, Klub Skialpinistyczny Kandahar, Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, AWF Kraków, Reni Sport, Inhead, Xann Design, Olympus, Garmin, Lifesystems, Marsat, Teleexpress, TVP Kraków, Radio Kraków, Tygodnik Podhalański, Traveler, Góry, Onet.pl, Wspinanie.pl, Ceneria.pl, Wspinaczki.pl, NEWW, Obywatel.

Aleksandra Dzik